# Rozmaitości

Dnia 17. marca **Nr 11.** 1838 roku.

## CZERWONY WELON.

OBRAZ Z WOJSKOWEGO ŻYCIA.

PRZEZ A. MARLIŃSKIEGO.

*(Z rossyjskiego.)*

Z ołówkiem w ręku usiadłem na wschodnim cmentarzu w Erzerum i zdejmowałem wzór z pięknego pomnika, mającego kształt kaplicy. Jesienne słońce schylało się po za odległe góry Lazistanu. W ostrych zarysach odbijały się na czerwonem, wieczornem niebie zębate mury piętrzącego się pod górę miasta. Nad niem wznosiła się grożąca warownia, na której spromienione blaskiem słońca łyskały działa, a wyżéj nich z rozpostartémi skrzydłami powiewał orzeł rossyjski. Pośród niebotycznych wież, podobnie smukłym kolumnom, stały w odległości wzniosłe topole, a spaniałe, z pozłacanémi gałkami ozdobione minarety, podobne były do ogromnych świateł, gorejących przed obliczem wielkiego Ałłah. Kamiennych grobowców cienie toczyły się aż w głąb doliny, a po drugiéj stronie cmentarzów, wznoszących się na kształt stada łabędzi na wszystkich wzgórzach miasta Erzerum, przy samym wstępie do Bajburskiego wąwozu widać było rozbity obóz wojenny. Zachwycony tym spaniałym, majestatycznym obrazem, zapomniawszy o pomniku, który skreślałem, zatopiłem się w widoku tych okolic uroczych. Wszystko, co przy świetle dziennem zdawało się być dzikiem i ostro-kończatém, zaokrąglił zmrok swą tajemniczą zasłoną i obudził we mnie rój myśli, które mię w zadumę wprawiły. Jak olbrzym zasypiający oddychało miasto, lecz tém większy zgiełk panował na przedmieściach, przed zamknięciem bramy. Wszystkie do miasta wiodące i wzgórzami, pomiędzy które były wydrążone, zasłonione gościńce, można było rozeznać jedynie przez kłęby kurzu, które nad niemi się wzbijały. Jedne trzody powracały z pola do miasta, a drugie wychodziły zeń do napoju. Wrzask pastérzy, ryk bawołów i rzenie zniecierpliwionych obozowych rumaków, wydawały głuchy huk łamiącego się o skałę morza.

W oddali odzywało się życie, ale w około mnie rozpostarła się cisza grobowa! Groźno leżała przede mną kamienna massa miasta, ale jeszcze groźniéj otaczało je wojsko śmierci— niezliczone mnóstwo wzniesionych grobowców zdawały się być wielkoludami, które się do nieodpartego szturmu zabiérały.

Łoskot bębnów na wieczorną zorzę rozlegający się po wszystkich ulicach miasta, wyrwał mnie z tego posępnego zadumania, i straciwszy przez odległość szorstkość swoję, odbił się lekko o moje ucho, a słodki ton fletu, następujący tuż po huku bębnów, mieszał się jak łagodny głos niewiasty między surowe krzyki wojowników. *Muezyny* wezwały na modlitwę. Wieczorny wystrzał z działa zagrzmiał w obozie; jego grom powtórzyły góry długiém, stłumionem echem, a potém — wszystko ucichło. Zwolna zatonęła w pomroku chorągiew' warowni, zwycięzki orzeł zwinął skrzydła. Słońce zaszło. Lecz nie zaraz swoją żałobną szatą okryła noc widokrąg; zwolna rozpościérała przejrzysta mgła swą gazową zasłonę, zwolna osiadała na szczytach gór; stopniowo gęstniały cienie, aż złoty księżyc wychylił się z po za gór na niebo i swoim złotym kręgiem oderwał mimowolnie na nowo duszę moję od ziemi. Długo siedziałem tak pogrążony w zadumaniu; — aż księżyc wzniósł się wysoko nad moją głową.

Już od niejakiego czasu postrzegłem był na wzgórzu stojącą nad grobem postać kobiécą; była wysokiego wzrostu, a długi, czerwony welon w szérokich przegubach spływał z jéj głowy aż do saméj ziemi; ależe podobne zjawienie w krajach mohametańskich nie jest osobliwością, zwłaszcza, iż oddawanie czci umarłym należy do najświętszych powinności żyjących, dla tego nie zwracałem na nią mojéj uwagi. Nie raz powiodłszy okiem po okolicy, zatrzymałem je na téj smukłéj postaci, lecz wkrótce znowu oddawszy się natłokowi myśli, zapomniałem o niéj i o całéj światowéj znikomości. Z tém wszystkiém, gdy już więcéj niż cztéry godzin upłynęło, które na cmentarzu przepędziłem, a ona, nito posąg marmurowy, jeszcze zawsze w tém samém stała miejscu, rzecz ta zdziwiła mnie nie mało. Mohametanka — o téj poźnéj godzinie — pośród niewiernych, w pobliżkości rossyjskiego obozu —? Prawda, że Turczynki prędzéj zaprzyjaźniały się z Rossyjanami, aniżeli mężczyźni, i w mieście bez obawy same chodziły, ale nigdy pod wieczór i za obrębem miasta. Lękały się ony więcéj zazdrości swoich ziomków, niż spotkania swoich zwycięzców, a papiérowa latarnia była niezbędnie potrzebną dla tych, które były przymuszone w towarzystwie swoich mężów lub krewnych pod noc iść przez ulicę. Nie mógłem pokonać mojéj ciekawości, i zarzuciwszy płaszcz na ramiona, zbliżyłem się cichym krokiem do nieznajoméj. Wzgórze to, na którém stała, otaczał cmentarz ormiański, który z mohametańskim był połączony. Smierć pojednała tych, co za życia byli sobie wrogami!

Już stałem przed nieznajomą, ale ona ani mię widziała, ani słyszała. Czerwony welon uchylił się z jéj oblicza — jakże ujmującą i jakiego wyrazu była twarz ta w niebo wpatrzona!... Na w pół otwartych, koralowych ustach zdawały się świegotać ciche modły, a dwoje czarnych ócz utkwiło mocno w daleką przestrzeń. Ciężki smutek zdrętwił tę spaniałą postać, dumna rozpacz błyskała z wyzdrojonego oka, luta żałość zdawała się zamieszkiwać w białéj, głębokiemi westchnieniami wzruszonéj piersi. Zaiste, są uczucia, których jeszcze żaden poeta, żaden malarz nie ważył się w wyraz przenieść, i takieto nieme, takie martwe uczucie drzało w nerwach téj pięknéj nieznajoméj. Widok ten ścisnął mocno serce moje, a głęboka podzielność strapienia przelała się w słowa. Ton głosu ułagodził niegrzeczność zapytania: »*Chanam* (pani)!« rzekłem do niéj w języku tatarskim, »opłakujesz zapewnie jakiegoś krewnego?«

Turkini wzdrygnęła się na moje przemówienie i nie zakryła swojéj twarzy, jak obyczaj azyjatycki wymaga; panujące uczucie bolesnego żalu nie dozwoliło jéj żadną inną myślą zawładać. Zdawało się, jak gdyby głosem moim z ciężkiego snu obudzoną została. Ustrzmiła we mnie swoje oczy, ale zaledwo było można usłyszéć jéj odpowiedź; zdawało się, jak gdyby w głębi duszy z sercem swojém rozmawiała.

»Zaiste, opłakuję krewnego,« odrzekła martwym głosem; »był on dla mnie wszystkiém na ziemi! Jako najczulszy ojciec wlał we mnie nową duszę; jako tkliwy krewny dawał mi wygody życia; jako namiętny małżonek kochał mnie nad życie — a ja kochałam go wzajemnie!« To rzekłszy, zwiesiła na piersi głowę i załamała ręce. Odpowiedź ta przejęła mię do żywego.

»Ukój żal twój, nieszczęśliwa!« rzekłem do niéj, »kochanek twój mieszka teraz w raju.«

Na te słowa rozlał się rumieniec na jéj twarzy: »Tak jest,« odrzekła, »już on na ziemi był godzien, aby go kochali niebianie! Lecz nie do raju Mohameta, ale do raju Ałłah wzniosła się jego czysta dusza — on był chrześcijaninem!«

»Chrześcijaninem?« zawołałem zdziwiony; »lecz któż był ten chrześcijanin?«

»Jako? tyż Rossyjanie pytasz mię kto był ten chrześcijanin? Jesteś żołniérzem, a nie znałeś swojego towarzysza; mając tkliwe serce nie miałeś w nim przyjaciela? Biédny, biédny człowieku, ubolewam nad tobą! Dopokąd jeszcze żył, byłabym życie moje dała, abym tylko sama jedna od niego kochana była; teraz, gdy umarł, o jakże życzyłabym sobie, aby go wszyscy tak gorąco, jak ja, kochali!« To rzekłszy umilkła i utkwiła w ziemię oczy.

Zbliżyłem się i postrzegłem na grobie niezgrabnie wyciosany krzyż, a na nim napis: *Tu spoczywają zwłoki porucz... Włod..., który umarł na rany odniesione w bitwie pod .....* Więcéj doczytać się nie mógłem. Dolna część

napisu była od kul podziurawiona; zdawało się, jak gdyby żołnierzom za cel służyła. Udział mój był tém większy jeszcze, gdym się dowiedział, że się w jednym z moich ziomków kochała. Miałem sobie za powinność nie opuszczać ją w chwili pełnéj niebezpiecznych przygód. Przypomniałem sobie, iż przed kilką dniami w okopach twierdzy znaleziono zabitą dziéwczynę, ofiarę mściwéj zazdrości; a przed niejakim czasem dwie niewiasty w ulicy; za śmiałe wycieczki Rossyjan, mściwi Turcy wypłacali się sztyletami, może nawet za urojoną tylko niewierność, bo uprzejme spojrzenie było już zbrodnią w oczach pohańców. Chcąc jéj przypomnieć, że jest późno, rzekłem:

»*Menni masisi* (kochana pani) słońce zajszło już dawno.«

»Moje słońce już mi nigdy nie wejdzie,« odrzekła głębokim żalem. »Już go ani kur swojém pieniem, ani twardy huk trąby, ani nawet głos mój co ranka nie obudzi! Gorący pocałunek mój już nie odemknie jego powiek, już się do mnie twarz jego miło nie uśmiechnie, już słodkie usta jego do mnie nie przemówią!...«

Tkliwe przypomnienie to rozdroiło żal w jéj sercu, strumienie łez potoczyły się z jéj oczu, zaczęła płakać rzewliwie. I po moich licach puściły się łzy żałosne.

»Siostro,« rzekłem do niéj, »w tém miejscu grozi ci niebezpieczeństwo. Jestem człowiek poczciwy, zawierz memu słowu; pójdź, zaprowadzę cię na miejsce, na które sama rozkażesz: do meczetu na przedmieście, albo do jakiego znanego ci domu. Inaczéj możesz ponieść krzywdę od naszych i narazisz się na obmowę u swych ziomków. Rozkaż, ja będę twym obrońcą!«

Na te słowa gniéw roztlił się na jéj twarzy; podniosłszy z dumą głowę i spojrzawszy mi w oczy, wyjęła z pod *archaluch* (kaftan) sztylet, który pod piersią ukryty miała: »Rossyjaninie,« rzekła, »prędzéj to żelazo utkwi w téj piersi, a niżli ręka mężczyzny zdoła mi zagrozić. Śmierć u mnie niczém! Dla obmowy mych ziomków, dla zemsty moich krewnych, jużem umarła! Teraz mogą już wszystko widzieć, o wszystkiém się dowiedzieć. Niegdyś nie byliby nawet najsroższą śmiercią wydobyli z ust moich tajemnicy miłości mojéj, teraz czuję rozkosz, gdy ją ogłaszać, gdy o niéj z każdym rozmawiać mogę. Oto jest cała moja duma, cała moja pociecha! Już mi nic więcéj odebrać nie mogą, bo już nic nié mam do stracenia!«

To rzekłszy skinęła ręką, abym się oddalił, potém usiękła na kolana i oddała się modłom. Nadaremnie ponawiałem me prośby, nadaremnie usiłowałem ją do oddalenia się z tych miejsc namówić: nie słyszała mię, wlepiła w grób oczy, a strumień łez, oświecony od promieni księżyca, jaśniał na jéj twarzy. Oddaliwszy się od niéj na kilkadziesiąt kroków, postanowiłem nie odstąpić od niéj, aż pokąd nie zaświta. Jakieś niepokonane uczucie, a może tkliwszy jeszcze udział nieszczęścia jednoczył mię z przeznaczeniem téj niewiasty.

Dzwón głównéj straży w mieście ozwał się i północ oznajmił. Wszystko w około spoczywało we śnie śmiertelnym. Rzadko dawało się słyszeć hasło żołnierzy stojących na podsłuchach; szczekanie psów w twierdzy i obozie, zamilkło. Oparty na złomku pomnika, przebiegałem oczyma widokrąg zasuty ciemnością. Za mną leżało sinym płaszczem mgły pokryte miasto, i tylko na murach warowni błyskały dwa promienie od strzelb żołnierzy, stojących na straży. Gęste wyziewy osiadły i obwlokły łyse grzbiety gór okolicznych. W jednéj stronie wznosiły się one jak zamki czarodziejskie, w drugiéj rozdzielały się nito srebrne lasy. Jeden tylko szczyt wysokiéj góry nie był mgłą osłonięty.

Lecz któż tam sadzi tak dziko na rumaku przez groby, że aż z kamieni iskry się sypią! Jestto Turek. Biały rumak jego leci jak wichr osiodłany, a széroka *szucha* (płaszcz) jego pośród mgły do chmury podobny. Wiedząc, że Turcy dowiedli swéj nienawiści nie jednem skrytobójstwem, chwyciłem mimowolnie ręką za pistolet. Jeździec wstrzymał w pędzie rumaka, podniósł się na strzemionach i okropnie z pod białego turbana potoczył iskrzącém okiem: bladą twarz jego otacza gęsta, czarna broda; szyje w około chciwym wzrokiem, szuka kogoś, śledzi jak sęp zgłodniały, i oto — znalazł swoję ofiarę! Rumak znowu ruszył z kopyta, grzywa jego jeży się i płynie w powietrzu — i w trzech susach staje u grobu Rossyjanina, przed którym na kolanach modli się nieznajoma niewiasta.

Widziałem jak się wspiął rumak, widziałem, jak ni jasny sierp księżyca, błysnęła szabla, słyszałem niezrozumiałe przeklęstwo, a razem i jęk krótki — krótki, ale nad wszelki wyraz przerażający!

Wszystkoto stało się jednéj chwili. Gdym przybieżał w to miejsce, zastałem czerwony welon na ziemi rozpostarty. Zabójca, postrzegłszy mię, natarł na mnie obces spienionym koniem i z dziką radością zawoławszy: »Czego tu chcesz psie chrześcijański!« wywinął szablą w powietrzu. Byłby mię niezawodnie trupem położył, gdybym był jego zapędu kulą nie uprzedził. Fontana ognista trysnęła, a szabla nieprzyjacielska dźwiękła i padła strzaskana na ziemię. Spłoszony koń w bok skoczywszy poniósł jeszcze jezdzca na swym grzbiecie, ale już z chwiejącą się i ku grzywie nachyloną głową. Wkrótce koń i jeździec zniknęli mi z oczu, a ja z trwożliwém przeczuciem pospieszyłem do nieznajoméj — już nie żyła!... Cięcie przez plecy doszło aż do serca; jednakże twarz jéj nie była krwią zbryzgana. Uklęknąwszy na ziemi, patrzyłem długo na jéj jasne, coraz większą bladością powlekające się czoło; przestrach nie zdołał spłoszyć z jéj lic głębokiego smutku, i zdawało się, że jéj otwarte usta nie wyzionęły po raz ostatni żałości i narzekania, ale wydały westchnienie miłości!

Chciałem w siebie wmówić, że jéj zbledniała ręka znowu się ocieni różaną barwą, że oddech życia znowu zarumieni zsiniałe usta, ale nadaremnie; już puls wydzwonił po wszystkie wieki, a dusza jéj poznała już wielką tajemnicę tamtego świata!

»Nieszczęśliwa! mamże ci życzyć szczęścia albo ubolewać nad losem twoim?« rzekłem sam do siebie przejęty głębokim smutkiem. »Teraz już ci wszystko jedno — twoje ziemskie cierpienia minęły już na zawsze — pokój tobie!« Ucałowałem jeszcze raz zimne jéj czoło i okrywszy czerwonym welonem martwe jéj zwłoki, opuściłem cmentarz.

Następnego poranku ze wschodem słońca wyszliśmy w pochód ku rossyjskim granicom. Mogłem wprawdzie domyślić się kto był téj nieszczęśliwéj kochankiem, lecz kto była ona, i kto był jéj zabójcą: ojciec, brat lub małżonek? tegom się dowiedzieć nie mógł, to zatonęło dla mnie jakby kamień w morzu; ale pamiątka tego okropnego wypadku, którego byłem świadkiem, wraziła się głęboko w serce moje, i po dziś dzień jeszcze nie mogę spojrzéć na czerwony welon, abym nie uczuł bolesnego wzdrygnienia.

---

## TRZĘSIENIE ZIEMI
### W DUKLI.

Z Dukli d. 17. lutego.

Dowiedzieliśmy się tu z Nr. 19. Gazety Lwowskiéj, iż »o godzinie 12téj w nocy z 8go na 9ty b. m. dało się uczuć u nas, osobliwie u oo. Bernardynów, *mocne trzęsienie ziemi*, że trwało *dziesięć* minut, że rzeczy w celach i pokojach z miejsc swoich usunięte zostały, i żeśmy, przebudziwszy się, w trwodze o życie noc przepędzili.«

Odczytawszy tę okropną wiadomość włosy mi na głowie stanęły! Podziękowałem Opatrzności, że mnie przy życiu zachować raczyła. Że téżto człowiekowi czasem ani się nie śni, jakie niebezpieczeństwo, jaka śmierć mu grozi!... Musiałto zapewne (rzekłem sam do siebie), Śty Jan z Dukli wstawić się za mną i czuwać opiekuńczo, że podczas gdy współmieszkańcy moi o północku »i pobudzili się i w trwodze o życie noc przepędzili,« ja wyśmienicie całą noc przespałem.

Zatrudnienia powołania mojego właśnie przez kilka dni poprzednich trzymały mię w domu; nie wiedziałem więc, co się około mnie działo — to tylko było pewne, że ja jeszcze żyję, i że dom, w którym mieszkam, calutenki stoi. Ale co się z miastem stać mogło, lub stało — któż mógł o tém wiedzieć?... *Dziesięć minut mocnego trzęsienia ziemi* — to nie bagatela!... I piramidy egipskie w gruzy by runęły, nie dopiéroż te szabasowe klejonki, z których po największéj części Dukla się składa. Któż nie zna tego na pograniczu karpackiém najhandlowniéjszego miasteczka? Kiedy rubaszny sąsiad zacisański spuszcza się z Bieszczadu i wstępuje w cieśniny naszego podgórza, ono piérwsze wita go urokiem okolicy, śród któréj na lewym brzegu Wisłoki u stóp olbrzyméj góry Cergowskiéj, wdzięcznie się rozłożyło. Któż nie zna miejsca urodzenia Śgo Jana z Dukli? Jeden z tegoczesnych pisarzów naszych mówi o Dukli tokiem Krasickiego listów:

Śród gór rozległych, gdzie się rwą obłoki,
Śród czarnych lasów, na brzegu Wisłoki
Leży, gdzie Węgier Karpacka granica,
Dukla, sąsiedzkich win sławna piwnica.
W piętnastym wieku dumnemi napady
Zniszczył ją Węgrzyn, teraz ma w niéj składy.
Tu się Jan z Dukli w skromnéj chatce rodził,
Po tém miasteczku, po tych górach chodził...

W tych kilku rymach mamy i położenie Dukli, i jéj starożytność historyczną, i sławę kościoła Bożego, i główną gałęź przemysłowości wiernie napomknione; ale rys charakterystyczny w tych dopiéro zawiéra się słowach:

**Na każde sto Chrześcijan, tysiąc Judy synów,**
**Ogromny klasztor — w nim dwóch Bernardynów.**

Szkoda! pomyślałem. Tak dawne miasto, tyle epok losu i dziejów krajowych przypominające, ten zamek z parkiem, gniazdo starożytne Mniszchów, Stadnickich, Mecińskich, ten kościół farny, a obok niego ta błogosławiona ulica, gdzie się Ś. Jan rodził, i którą dotąd żadnemu Żydkowi zamieszkać nie wolno, ten klasztor zakonu Bernarda, te składy zboża, wódki, te piwnice, a te wina, te wina!... Wszystko zaginęło, przepadło, zniszczało!

Z dokumentem tego zniszczenia, t. j: z Nr. 19. Gazety Lwowskiéj, wychyliłem się za drzwi, aby obaczyć powszechną ruinę. Patrzę — Dukla stoi. Jako! zawołałem, *dziesięć minut mocnego trzęsienia ziemi*, a Dukla stoi?... Posuwam się daléj: Przecież, kiedy się »mieszkańcy pobudzili i noc przepędzili w trwodze,« trwoga ta najprędzéj Żydków obiegnąć musiała. Pytam jednego, drugiego, trzeciego. Każdy się na mnie wypatruje — żaden mnie nie rozumie. Ja im pokazuję, mówię, że to *drukowane* — daremnie. Żaden się w nocy z 8go na 9ty nie przebudził, żaden się nie trwożył.

Rzecz jasna, że to było jakieś *parcyjalne* trzęsienie, a że korespondent mówi: »iż się czuć dało *osobliwie* oo. Bernardynom i kilku domkom koło tychże daléj leżącym,« byłem pewny, że ani Bernardynów, ani domków koło tychże daléj leżących, nie zastanę na miejscu. Obawę tę popiérał mój domysł tym oczywistym wnioskiem: jeżeli w Kronsztadzie — gdzie podług siedmiogrodzkiego korespondenta *mocne* było trzęsienie ziemi — w przeciągu *jednéj* minuty i trzech sekund »domy i sprzęty jak balon się chwiały, półmiski ze stołów spadały, mury pękały, kominy, dachy z ogromnym trzaskiem się waliły;« tedy w Dukli, gdzie według dukielskiego korespondenta również *mocne* trzęsienie ziemi *dziesięć* minut trwało, ziemię oo. Bernardynów i owe domki koło tychże bliżéj stojące, *przynajmniej* pochłonąć musiało. Wpadło mi też zaraz na myśl, że to pewnie to samo trzęsienie ziemi, które nie dawno Lwowianów zmieszało. Prawda, że od czasu owego we Lwowie trzęsienia dwa tygodnie minęły, ale też to 26 mil odległości, zła droga, śniegi, zaspy — łatwo więc być mogło, że się opoźniło, i że w téj drodze dwa upłynęły tygodnie, za nim *trzęsienie* na oo. Bernardynów przyszło.

Klasztor oo. Bernardynów leży odosobniony od miasta, na pochyłości wzgórza, zkąd widok na całe miasto rozległy i piękny. Z celi gwardyjana oko bujać może po romantycznych dolinach, i sięgać aż do cieśniny gór, w którą droga ku Węgrom, wijąca się po grzbiecie pionowéj nad Wisłoką skały, zapada i ginie. W pobliżu klasztoru stoją dwa domki; w jednym z tych poczta dukielska. Nakręcając z miasta ku mostowi, okazuje się w pięknéj perspektywie gmach klasztoru, swojém położeniem i wieżami panujący miastu. Po trzęsieniu ziemi, które *dziesięć* minut trwać miało, mógłżem się spodziéwać, że go ujrzę jeszcze na swojém miejscu stojącym?... Lecz Ś. Jan z Dukli silną ręką nie tylko mnie, ale i klasztor śród trzęsienia trzymał. Ostała się ta siedziba ubogich ojców — a owe krzyże na wieżach klasztoru, owe poopadane mury, szczerby i otwory, któremi klasztor o niedoli swojéj, jak człowiek westchnieniem, przemawia, mnie przynajmniéj, mieszkańca dukielskiego, nie mogły na myśl trzęsienia ziemi wprowadzić.

I jakże odgadnąć zagadkę tego trzęsienia ziemi w Dukli? Jak rozwiązać zadanie, że trzęsienie ziemi, którego w Dukli nie było, przeszło do Gazety, *mocne* i *dziesięć minut trwające?...* Ojciec gwardyjan ten upłot rozwikła.

Pewien Telembecki, bez funkcyi, jakto mówią, zostając, człek nabożny, przykładny, schronił się do cichéj celi klasztornéj. Blizko poczty, czytując zapewne Gazety, lub słysząc od innych o tych trzęsieniach ziemi, które jak morowa zaraza, od Odessy i Bukaresztu nadciągając, aż do Lwowa już sięgnęły, rozgrzał fantazyją blizkim końcem świata i ostatecznym sądem. Z 8go na 9ty lutego, wicher, który tu ze szczelin cieśnin pogranicznych często z gwałtownością niesłychaną wypada, potrząsał staréml murami, hucząc i łomocąc po korytarzach klasztoru. *Budzi* się Telembecki i *w trwodze o życie noc przepędzając*, Bogu duszę oddaje i paciorki odmawia. Pokwapny, niepowołany korespondent, zapewne w jednym z domków »koło klasztoru daléj leżących,« także przebudzony, przepędziwszy noc w trwodze, zebrał rano *gadki* Telembeckiego, a dołączając do nich swoje uczone uwagi, dał nam z nich uczciwą porcyję trzęsienia ziemi, któraby nie tylko na Duklę, ale na całą prowincyję wystarczyła. Brakło tylko retorycznego okraszenia; bo jużcić, skoro korespondent kronsztadzki przy *jednéj minucie* i trzech sekundach mógł — i bez wątpienia z największą słusznością — pisać: »że drżące ręce same się do modłów składały, że śmiertelną bladością powleczone usta błagały o koniec tego zjawiska przyrody, że każdy człowiek z czuciem przygotował się na śmierć i widział grób przed sobą otwarty,« toż korespondent dukielski przy *dziesięciu minutach* trzęsienia miał prawo nie równie straszliwsze

opisywać rzeczy. Dzięki więc korespondentowi dukielskiemu, że poprzestał na przebudzeniu i trwodze, a nie kazał przynajmniéj, jak kronsztadzki swoim przebudzonym mieszkańcom, myślić ciężkie myśli: »nad nicestwem ziemskiego życia i nad znikomością dóbr doczesnych.«

Na dniu 16. b. m. i następnych, to jest, po odebraniu Gazety Lwowskiéj, Dukla w niezwykłym była ruchu. Nie mówiono o niczém, tylko o trzęsieniu ziemi. Znajomy odwiédza znajomego, Żydkowie po sklepach, po piwnicach biegają, patrzą, czyli rzeczy, podobnie jak *w celach i pokojach*, z miejsc swoich nie zostały usunięte? jeden drugiego pyta, czy się przebudził w nocy z 8go na 9ty, czy w trwodze o życie nocy téj nie przepędził? i t. d... Wnet ta wieść runęła po okolicy całéj, a tam najprędzéj sięgała, gdzie zwykle nie sięga Gazeta. Wkrótce zapewne odbierzemy tę wieść, skoro jak wzrastająca lawina obiegnie krainę, w drugiém, pomnożoném wydaniu. Dukla széroko rozsłynie — a pisma zagraniczne, budując domysły na tém *dziesięcio-minutowém* trzęsieniu ziemi, wywieszczą nam wulkaniczny wybuch, który Duklę pochłonie, lub z niéj przynajmniéj drugie Herkulanum i Pompeję zrobi.

*Obywatel Dukielski.*

---

WSPOMNIENIA

## Z WĘDRÓWKI PRZEZ GÓRY OLBRZYMIE

*(Riesengebirge)* w roku 1837.

### IV. KUNZENDORF.

Wschodzące słońce przebijało się przez szczeliny starego zamku Karpenstein, gdyśmy Landek opuścili. Droga ciągnęła się brzegiem rzéki Biéla, pomiędzy porządne wioski, żyzne pola i cieniste gaiki. Wesołe chłopaki i dziéwczęta w dużych, słomianych kapeluszach, wychodziły z grabiami w ręku z poblizkich chatek, owocowémi drzewami osłoniętych, by świéżo zkoszoną konicz w kopice pozgartywać. Z rosą poranną dźwięki świergotliwych skowronków, jakby błogosławieństwo boskie, spływały na pracowitych robotników, w tym wielkim ogrodzie natury. Śpiéw skowronka w porannéj godzinie ma nieodgadniony wdzięk dla duszy. Podczas gdy wszystkie głosy żyjących istot, jakby w ofierze do Stwórcy się wznoszą, jego tylko śpiew, drzący pomiędzy niebem a ziemią, niebu i ziemi głosi miłość i wielkość Boga, przy zmartwychwstaniu wiosny, i nie w twardych skałach, ale w sercach ludzkich echa wdzięczności obudza. Skowronki jako czarne, ruchome gwiazdki, błyszczą nie światłem, ale harmoniją, tém światłem duszy, nad wielkim obrazem stworzenia! Urocza cisza panowała nad całą, otaczającą nas naturą, pomimo wrzawy robotników, świergotania ptaszęt, i szmeru bystréj Biéli. Natura podobna do duszy naszéj, która nie raz pośród zgiełku i gwaru ludzi świętą ciszę i spokój w sobie zamyka. Wkrótce ujrzeliśmy piękny zamek Kunzendorfski, należący do hrabiego Fürstenberga. Wysiadłszy w oberzy, wzięliśmy z sobą przewodnika, któryby nas do ogrodu poprowadził. Szliśmy długo krętą ściéżką przez wonną łączkę i kładką, romantycznie wysokie brzegi Biéli łączącą, weszliśmy do wioski. Widząc po drodze drzwi do kościoła otwarte, wstąpiliśmy do środka. Stary kościelny z posiwiałą głową, zmiatając prochy po ścianach, spiéwał pełnym głosem pieśń miłości i nadziei: *Warum betrübst du dich mein Herz!* Hans Saxa, znanego powszechnie szewca i rymotwórcy niemieckiego z wieku 15go, który tę pieśń w roku 1552, w czasie drożyzny i głodu napisał, i którą w całych Niemczech pod nazwą: »Biédnych ludzi posiłek,« znano i spiéwano. Promień słońca, wkradłszy się wązkiemi oknami i pozłacając białe mury kościoła, błogosławił w odblasku dwoje dzieci ze złożonémi rączkami, w ubogiéj, ale chędogiéj odzieży, u stóp ołtarza klęczących, i stłumionym głosem, łzami i łkaniem przerywanym, modlitwę poranną pobożnie odmawiających. »Któż są te dzieci?« zapytałem staruszka, »i jakaż łez ich przyczyna?« — »Biédne siéroty,« rzekł z bolesnym uśmiéchem, »są to dzieci méj siostry, która przed kilkoma dniami ciężką w dolinie łez pielgrzymkę zakończyła. Tam za kościołem, pod tą rozłożystą lipą, jest jéj grób. Siéroty wziąłem do siebie, aby ich smutek ziemski zmienić w tęsknotę niebieską. Rano, gdy idę do kościoła, biorę je ze sobą, aby w łzach Boga błagały, by ich tą drogą, jak matkę, drogą krzyża i nadziei, do wiecznego zbawienia doprowadził.« To rzekłszy, pożegnał nas, i wziąwszy dzieci za ręce, wyszedł z kościoła, kończąc pieśń, którąśmy mu przerwali. Obok kościoła stał piękny domek, mieszkanie pastora; po białych murach rozpięta róża irykońska, cała w kwieciu, wonią powietrze napełniała; winna latorośl wiła się po słupkach gankowych, a fórtka, do całego pomieszkania wiodąca, wieńcami była przystrojona, a nad nią napis: »Dobremu pastérzowi,« tonął pośród kwiatów. Młode dziéwczęta znosiły ciągle świéże bukiety i wieńce. »Dobry musi być wasz pastérz, gdy się tak cieszycie jego powrotem, gdyż to zapewne jest przyczyną tych przygotowań?« zapytałem jednéj z młodych dziéwcząt. »Nie inaczéj,« odrzekła, »on jest naszym ojcem; bez niego jesteśmy jako siéroty; bo kto Boga nie kocha, kto ojca w nim nie zna, ten jest prawdziwą siérotą; a to on jest, który nas nauczył w Bogu najdobrotliwszego poznać i pokochać ojca.« To powiedziawszy, pobiegła na brzég rzéki świéże zbiérać kwiaty. Ogród, w wspaniałym założony stylu, z dwóch składa się części, rzéką Biélą prze-

dzielonych: z ogrodu kwiatowego, sławnego ze zbioru róż i kamelijów i parku angielskiego. Przed zamkiem, na prześlicznym trawniku, rozłożysty buk, z czarnym liściem, pięknością i wielkością zadziwia. KAROL ANTONIEWICZ.

---

— Ze Lwowa. —

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* wyszedł N. 19. i obejmuje przedmioty następujące: 1) O księgosuszy bydlęcej. 2) Wynikłości fabryki cukru w Żurawnikach. 3) Olejnia pana Brosz w Pradze. 4) Uwagi względem przedaży wełny. 5) Zdarzenie prawdziwe.

Literatura sławiańska. Dr. Ludwik Gaj, jeden z najgorliwszych przyjaciół i wspieraczów literatury sławiańskiej, wydaje także na rok bieżący w Zagrabiu swoję Gazetę polityczną w narzeczu iliryjskiem: *Ilirske narodne novine*, do której dodaje pismo zabawie poświęcone, pod nazwą: *Danica ilirska* (Iliryjska gwiazda poranna). Mianowicie to ostatnie wyszczególnia się w roku bieżącym wielu ciekawémi artykułami, z których przytaczamy: Poemat Iwana Mazuranica: »Wieki Iliryi;« »Dodatki do historyi wojennych dzieł iliryjskich ze szczególniejszym względem na horwackich i slawońskich bohatérów;« »Smierć z głodu przy obronie twierdzy Gnosdańskiej r. 1578;« »O biblii iliryjskiéj we Francyi« i t. d.

Starożytna kronika przekonywa, że apostoł Paweł był pierwszym nauczycielem języka sławiańskiego. Onto bowiem, mówi taż kronika, kazał w Iliryi i Morawii po sławiańsku, przeznaczając apostoła Andronika, jednego z swych 70 uczniów, na swego zastępcę w krajach sławiańskich; gdyż my Sławianie, którzy ten kraj zamieszkujemy, mówiliśmy i rozumieliśmy tylko po sławiańsku. — Nestor (w kronice sławiańskiéj: *Czernorica Theodoziewa Monasterva Peczerskogo)*, który zasługuje na wiarę, opowiada, że już Methodius, następca Sgo Andronika w Morawii, razem z dwoma innymi uczonymi, tłumaczył książki greckie na język sławiański. (G.P.)

Poezyje polskie w pismach innych sławiańskich narzeczy. Pomiędzy pismami wychodzącemi w narzeczach sławiańskich, nieposlednie zajmuje miejsce, prawie nieznana u nas: *Hronka podtatrańska Zábawnice; czasopis krasnomilého a užitečného cztenj*; wydawana czesko-sławiańskiem narzeczem w Bani-Bystrzycy, w Węgrzech, przez zaszczytnie znanego w literaturze sławiańskiéj Karola Kuźmaniego. Szanowny redaktor tego pisma umieszcza niekiedy w narzeczu polskiém poezyje, jakoż w ostatnim zeszycie *Hronki* z r. 1837, którą mamy przed sobą, czytamy na str. 166—171 poezyje polskie z podpisem A*, a między niemi: »Wiersz na skon księcia Rudolfa Kińskiego,« założyciela *Matki czeskiej* w Pradze, społeczności w celu dopomagania drukom i wydawaniom książek w czeskiém narzeczu. Wydawca *Hronki*, w wymownym dopisie do tych poezyj, wzmiankując o pismach czasowych polskich, nie zapomniał także o naszych Rozmaitościach, któreto pismo życzyć sobie szczęścia powinno, iż pochwałę tak światłego męża uzyskało. — Oprócz w *Hronce* i kilkakrotnie w *Kwětach* czeskich, znajdujemy także poezyje w narzeczu polskiém, mianowicie Nik. Bętkowskiego, w zbiorze wydanych właśnie w Peszcie *Pieśni i poezyj*, na pamiątkę 50letnéj rocznicy poświęcenia tamże ewangelicko-sławiańskiego kościoła, a to obok imion J. Kollára, Kuźmaniego i innych. S. J.

Najnowsze docieczenia w astronomii. Z najnowszych dociekań sławnego astronoma Struve wynika, że zdziwiajaca odległość gwiazd stałych od ziemi, daleko jest większa, aniżeli ta, którą dotąd przyjmowano (to jest: przenosząca najmniéj 200.000 razy odległość ziemi od słońca). Już Piazzi, Calandrelli i Brinkley zajmowali się wymierzeniem paralaxy gwiazdy *Alfa w lirze*; astronomowie ci obrali każdy inną metodę obserwacyj, i otrzymali wypadki nader odmienne, a jak Struve okazał, bardzo się między sobą różniące. Ten ostatni oznaczył paralaxę metodą dotąd od nikogo jeszcze nie użytą, to jest: mierząc w rozmaitych porach roku odległość i kąt kierunku gwiazdy bardzo małéj, znajdującéj się w odległości (kątowéj) 43 sekund. Pokazało się, że paralaxa takiéj gwiazdy czyni 1/8 sekundy, t. j: że ta gwiazda jest 1.650.000 razy bardziéj od ziemi oddaloną, aniżeli słońce. Innemi słowy: ile razy mieści się jeden krok w odległości ze Lwowa do Tryjestu, tyle razy mieści się odległość słońca od ziemi, w odległości ziemi od gwiazdy *Alfa* w *lirze*. Czyjaż wyobraźność obejmie tę nieskończenność, a przecież duch badacza zdołał ją przemierzyć! Dociekł też Struve, iż w gwiazdzie *Xy* w *wielkim niedźwiedziu* związane są siłą pociągania dwa słońca w jeden system; masa jednego z nich jest 117, a drugiego 42 razy większa od masy naszego słońca; razem tedy system ten przenosi swoją massą 159 razy masę naszego słońca. Odległość tego systemu od ziemi jest 7 1/2 milionów razy większa, aniżeli odległość ziemi od słońca; światło z tamtąd, za nim się do naszéj ziemi dostanie, potrzebuje biedz przez 118 lat. Jeżli te obadwa słońca są tak gęste jak nasze słońce, to średnica większego jest $4,_9$, a mniejszego $3,_5$ razy większa od średnicy naszego słońca. Okrążają się one w drogach eliptycznych w przeciągu 60 1/2 lat. Średnia ich odległość od siebie jest $83,_2$ razy większa od odległości ziemi od słońca, czyli 4 1/2 razy tak wielka, jak odległość Urana od słońca. Odległość katowa tych słońc od ziemi wynosi: większego 1/400, mniejszego 1/505 sekundy.

Starożytność wynalazków. W czasopismie *Journal asiatique*, z miesiąca sierpnia r. 1836, znajduje się bardzo ciekawa przez pana Biot napisana rozprawa o postępach naszego przemysłu, z któréj się pokazuje, iż nie jeden wynalazek, który u nas jest nowym, dawno już był wiadomy ludom mieszkającym na Wschodzie. Na dowód wspomina o sztuce drukarskiéj, igle magnetycznej, prochu do strzelania, z którym Chińczycy już od wielu wieków byli obeznani; następnie przytacza sposób robienia porcelany, który, co do doskonałości, dopiéro przez księcia d'Entecolles w wieku ośmnastym przywieziony był z Chin do Europy; kunsztowną chińską opałkę do czyszczenia zboża, którą we Francyi pod nazwą *tarare* zaprowadzono; sposób topienia kruszców, fabrykowania papieru z bambusu i bawełny; żelazne mosty wiszące; studnie artezyjskie w okolicach, gdzie nie masz podostatkiem wody, i doskonałe opisanie jakim sposobem można prowadzić gaz rurami dla oświetlenia całego miasta, co już dawno niejaki Pauw podał w wątpliwość, nimeśmy jeszcze ulice gazem oświetlać zaczęli. Nareszcie z Encyklopedyi japońskiéj podaje Biot sposób pozyskiwania cukru i syropu z ryżu za pomocą precypitacyi, robiąc przytém uwagę, że o tém już chińskie dzieło z r. 1578 wspomina, podczas gdy sposób wydobywania cukru z roślin dopiéro od r. 1810 jest nam wiadomy. Sposobu robienia cukru z trzciny i pędzenia wódki albo araku z ryżu, nauczyli się Chińczycy od Indyjan jeszcze r. 707.

Nowy skład powozu. W Londynie zrobiono teraz taki powóz, który co do piękności, gustu i wygody wszystko przewyższa, co dotychczas w tym rodzaju widziano. Powóz ten złożony jest z dwóch oddziałów, piérwszy oddział obejmuje przedpokój, a drugi bawialnią

albo też i sypialnią. W przedpokoju znajduje się stół, dwie komody i inne sprzęty potrzebne do domowego gospodarstwa. W bawialni znajdują się sofy, kobierce, sześć krzeseł, stół, kredens i t. d., tudzież spaniały pająk o dziewięciu ramionach; jest tam umieszczony także piec i miejsce do utrzymywania ognia. Powóz ten ma 25 stóp długości, a dziewięć stóp szerokości i wysokości. Bawialnia ma stóp dwadzieścia. Cała budowa ta waży pół trzecia cetnara.

Zbrojna siła cesarza chińskiego. Pewien misyjonarz (rossyjski) zebrał względem wojska chińskiego następujące wiadomości: Armija chińska podzielona jest na cztery dywizyje; pierwszą jest gwardyja, składająca się z Tatarów Mantschu i Mogołów, obejmująca 315.200 ludzi; druga, wojsko zwycięzkiej chorągwi, złożone z Tatarów Mantschu i Mogołów, mająca w sobie 166.000 ludzi; trzecią, wojsko zielonéj chorągwi, złożone z samych Chińczyków i wynoszące 666.300 żołniérza; czwartą, wojsko Tybetu i Turkostanu, złożone z 28.000 ludzi. Cała zbrojna siła wojenna wynosi 1.275.500 ludzi. Podzielona jest na armije, dywizyje, pułki, bataliony i i szwadrony, podobnie jak armije europejskie.

Familija książąt czerkaskich. Anglik Edmund Spencer w opisie odbytéj podróży po Kaukazie opowiada swoje odwidziny w domu jednego z książąt czerkaskich, mówiąc: »Księżna i córki jéj przyjęły mię bardzo uprzejmie; przyniosłem im podług zwyczaju w owym kraju niektóre mało znaczące podarunki; zaco one nawzajem dały mi pas na pistolety, dwie małe ładownice safianowe, swoich pięknych rąk robotę. Matka, mająca lat około pięćdziesiąt, była spaniale ubraną, miała bowiem na sobie z przodu otwartą, srebrnémi zapinkami ujętą szatę z niebieskiego jedwabiu, pas srebrem przyozdobiony, tudzież pstre spodnie z pięknego, tureckiego muszlinu, czerwone sandały, a na głowie lekki szal, który częścią jak zawój turecki był owity, a częścią w powabnych przegubach spływał na dół. Na to wszystko rzucony był welon muszlinowy, który prawie całą jéj twarz zasłaniał. Mnóstwo drogich, starożytnéj oprawy klejnotów uzupełniało jéj toaletę. Była ona niegdyś zapewne bardzo piękną. Córki jéj ubrane były jeszcze spanialéj, ale zamiast zawoju obiedwie miały na głowie tyjarę z czerwonego safianu, mnóstwem tureckich i perskich złotych monet przyozdobioną. Z resztą ubior ich był jednakowy, wyjąwszy włosy tych młodych dam, które nie tak, jak mężatkom, wolno na szyję spływały, ale w gruby warkocz splecione, a w końcu srébrnym sznurkiem związane, aż po pas spadały. Rysy ich twarzy były tak regularne, piękne i pełne wyrazu, jak rysy twarzy ich matki, jednakże wyznać muszę, że cera twarzy nie odpowiadała bynajmniej ich piękności. Lecz były jeszcze młode i mocno sznurówkami ujęte, które noszą wszystkie czerkaskie dziewczęta, aż do czasu swego zamęzcia, i to zapewne było przyczyną, iż tak blado wyglądały. Na dany znak wyszedł młody książę z pokoju, przybyła bowiem jedna z jego żón, księżniczka z domu Demirghoi, najpiękniejsza kobieta, jaką kiedy w życiu mojem widziałem. Miała ona około lat ośmnaście, najregularniejsze rysy greckiéj twarzy, duże, czarne oczy, smagławą cerę, piękną nóżkę, małą rączkę i twarz prześliczną. Ubior jéj podobny był do ubioru matki książęcia, lecz jeszcze gustowniejszy. Piękne, krucze jéj włosy w warkoczach spływały na ramiona. Księżna i córki jéj zajęte były haftowaniem, lecz praca ta nie zabiera wszystek czas kobietom kaukazkim, dla tego gospodynie moje przędły także, podobnie jak królowe w wiekach starożytnych, len i wełnę; pięknemi rączkami swemi robiły dla familii nie tylko suknie i sandały, ale nawet płaszcze z wielbłądziéj i koziéj siérści, siodła, czapraki, tudzież pochwy do szabel i sztyletów. Nie mniejszy talent okazywały do kucharstwa i mléczywa; czasami dawały także do poznania, że się znają i na polowém gospodarstwie, a okazałą swą garderobę chowały dla wizyt ceremonialnych. Gospodarz mój był również bardzo uzdolnionym człowiekiem, własnémi bowiem książęcemi rękami powystawiał te mały domy, w których miał swoje pomieszkanie. Sam dla siebie był cieślą, garbarzem i tkaczem, oprawiał swoje karabiny i pistolety, robił łuki, sajdaki i doskonałe strzały, nakoniec podobien do starego króla Pryama, uprawiał sam ze swoimi synami pole i pasł po górach swoje trzody. A gdy śnieg w zimie przerwał te zatrudnienia, wtedy tkał bardzo piękne kobierce, które w Turcyi i Persyi dobrze popłacają. Ale nie na tem jeszcze kończyły się wszystkie jego roboty; odlewał kule, robił proch do strzelania, a gdy mu prócz tego jeszcze cokolwiek czasu pozostało — wtedy palił fajkę.«

Nowy sposób pozyskania małżonka. Piérwszych dni miesiąca grudnia r. z. w jednem wielkiem i handlowem mieście angielskiem przerażona była niezmiernie pewna kupiecka familija z powodu, że jéj nagle zniknęła najmłodsza córka. Rzecz była taka: Młoda ta dama, chcąc odwidzić niektóre z swoich przyjaciółek, wyszła była z rana ze swego pomieszkania, i przy téj okoliczności w wodę wpadła. *Bells Messenger*, donosząc o tym osobliwszym przypadku, opisuje go z wszelkiemi szczegółami; ale to nie należy do rzeczy. Czytelnikowi o tém tylko wiedzieć potrzeba, iż prędzej niż czółna, pręty i liny, zjawił się pewien *gentlemen*, który nie zważając ani na swój frak nowy, ani na własne niebezpieczeństwo życia, natychmiast wskoczył w wodę, i szczęśliwie ją na brzég wydobył. Potém wziąwszy tę mokrą nimfę do swojego powozu, odwiózł ją do domu przestraszonego ojca. Naturalna, iż w wieczór dowiadywał się o jéj zdrowiu. Drugiego dnia wyszedł ojciec z matką za sprawunkami z domu; drugiego dnia nie przyszła córka na śniadanie; ptaszek wyleciał po raz drugi z klatki, ojciec i matka byli znowu nieutuleni w żalu. Tak trwały rzeczy aż do szóstego dnia, w którym stroskana familija odebrała list z tém doniesieniem, iż piękna lady z wdzięczności ku swojemu wybawcy, który jest młody, bardzo znakomity i majętny mężczyzna, przyjęła jego rękę, i że przytém jest zdrowa i zupełnie szczęśliwa. Nowy ten sposób pozyskania dla siebie małżonka sprawił tak wielkie na dziewczętach wrażenie, iż wiele z nich, nie mogąc doczekać się małżonka, postanowiło w lecie, gdy się woda ogrzeje, doświadczyć, jaki będzie miała skutek podobna kąpiel. Wszelako mają być tak przezorne, iż każą sobie podszywać spodnice korkowém drzewem, dla ocalenia się na ten podwójny przypadek, gdyby nikt ani jako wybawca, ani jako małżonek, na ratunek nie przybył.

Zdanie Mohameta. Mohamet zasłużył sobie u kobiét arabskich na względy przez okazane dla nich pobłażanie. »Obchodzcie się z kobietami łagodnie!« mówi on, »wszak stworzone są z ziobra, a ziobro jest krzywą kością; jeżeli je zechcecie koniecznie naprostować, złamiecie je. Obchodzcie się z kobietami łagodnie!« Dowcipnie, a co większa — po ludzku!

Ważność modniarek. Modniarki w Paryżu znają wartość swoję, dla tego nie dziw, iż pewnego razu modniarka rzekła do jednéj damy, żądającéj, aby jéj z ceny kapelusza spuściła: »Ręczę pani honorem, że na wynalezienie i ubranie tego kapelusza trzy bezsenne nocy spędziłam!« Służąca innéj modniarki odpowiedziała pewnéj osobie, która się o nią pytała: »Z moją panią teraz się widzieć nie można, bo ona komponuje.« Trzecia znowu zrobiła nad piórem u kapelusza tę uwagę, iż je w chwili poetycznego zachwycenia zatknęła!

*Redaktor Jan Nep. Kamiński.* *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*